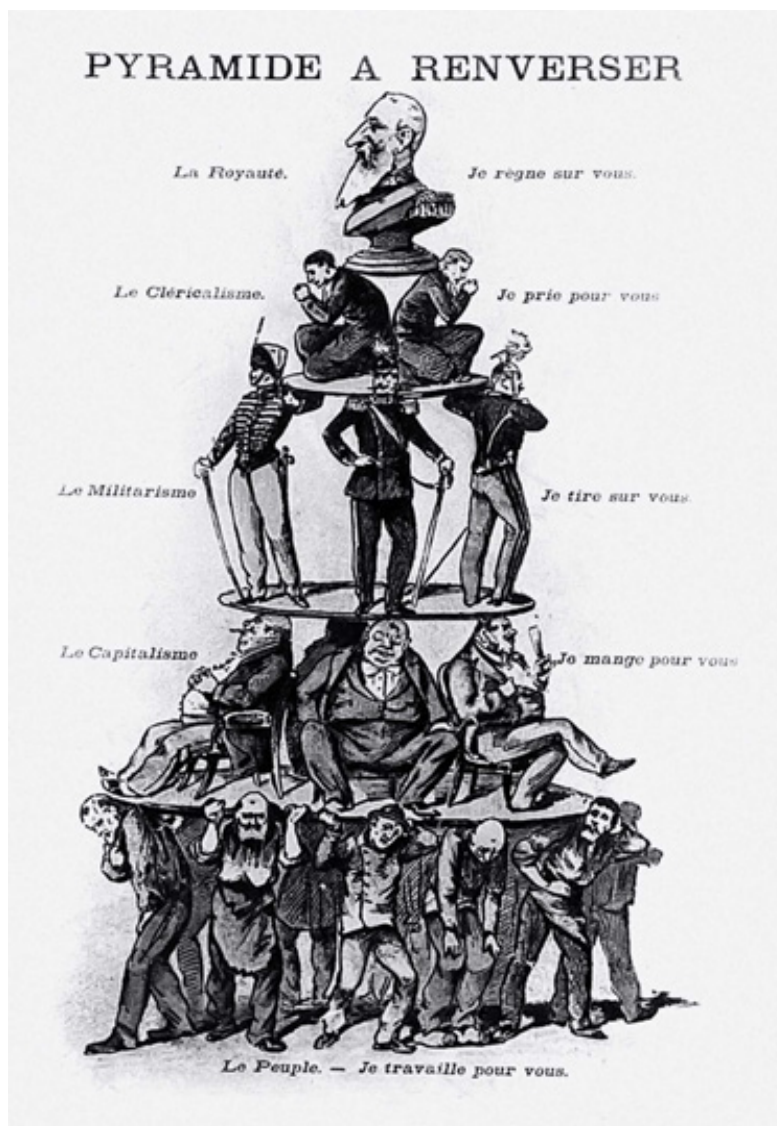


Piramida społeczna,
która musi się zawalić,
grafika z ok. 1890 r.:
„Władza królewska
– zarządzam wami.
Kościół – modłę się
za was.
Armia – strzelam do was.
Kapitalizm – jem za was.
Lud – pracuję na was”.



Magia utopii

Upadek komunizmu w 1989 r., przypieczętowany rozwiązaniem ZSRR w 1991 r., zdawał się kończyć czas eksperymentów z wielkimi utopiami. Po narodowym socjalizmie, zduszonym podczas II wojny światowej, do lamusa odchodził projekt budowy komunistycznego raju na ziemi. Nadszedł koniec historii, ogłosił amerykański filozof Francis Fukuyama, przekonując, że po nieudanych próbach testowania różnych systemów świata pozostał jeden uniwersalny sprawdzony ustrój społeczno-polityczny: liberalna demokracja i wolnorynkowy kapitalizm.

Ćwierć wieku później to właśnie pytanie o przyszłość liberalnej demokracji niepokoi najbardziej. Uśmiercona historia powraca jak zombie, przypominając o sobie na gorących i zimnych frontach wojen toczonych na całym świecie. Co jest istotą tych konfliktów? Dlaczego na gruzach Iraku i Syrii zamiast liberalnych demokratycznych republik powstało Państwo Islamskie? Dlaczego Brytyjczycy głosowali za opuszczeniem Unii Europejskiej, a Amerykanie są gotowi popierać Donalda Trumpa?

Utopijny projekt komunizmu, który zorganizował życie setek milionów ludzi w XX w., miał przyspieszyć nadejście nieuchronnej przyszłości i zwieńczyć epokę postępu. Czy dziś jeszcze wierzymy w postęp i w przyszłość? Czy wierzymy w jakąś lepszą alternatywę dla dzisiejszej rzeczywistości?

To dobre pytania na 2016 r., kiedy obchodzimy 500 lat „Utopii” Tomasza Morusa i 10. rocznicę śmierci Stanisława Lema. Czy wszystko zostało już przewidziane, a przyszłość jest dziś, tylko nierówno rozłożona, jak twierdzi wybitny pisarz gatunku cyberpunk William Gibson? Czy też pogodzić się musimy z nieprzewidywalnością biegu rzeczy?

O utopiach, wizjach, sprawdzonych i niesprawdzonych prognozach oraz zarządzaniu przyszłością w czasach przełomu piszemy w tym wydaniu „Niezbędnika Inteligenta”. Paliwa dostarczyła nam m.in. organizowana 18–20 sierpnia we Wrocławiu międzynarodowa konferencja „Czas Utopii. W poszukiwaniu utraconej przyszłości”, której kuratorami byli redaktorzy tego wydawnictwa.

Zapraszamy do lektury

EDWIN BENDYK

kierownik działu nauki POLITYKI

Prolog

Test pisarza Lema	
– on przewidział wszystko	6
Wizja niezłomnego	11
W poszukiwaniu	
utraconej przyszłości	15

Krótką historia przyszłości

Z wody, bełkotu,	
wątroby i gwiazd	16
Między objawieniem	
a zabobonem	21
Jutro będzie lepiej	25
Homo magicus	30
Antyutopia i przemoc	32
Porządek jaszczurów	36

W poszukiwaniu lepszego świata

Manichejczycy i dystopianie	40
Między zasadą nadziei	
a zasadą odpowiedzialności	47
Alternatywa Barbie	52
To żadna tajemnica	57
I jak tu wierzyć	60
O przyszłości	
decyduje przeszłość	65
Jak przekroczyć wyobraźnię	66

Między utopią a apokalipsą

Czas popsuć świat	70
Koniec małej planety	75
Przyszłość to czas	80
Bunt Południa	84

Kultury futuro

Trzecia fala po przyboju	88
Algorytm przyszłości	92
Do re mi es-ef	95
Śnimy już tylko koszmary	100
Fantazja polska	105
Lokum dla utopii	109

Podsumowanie

Odzyskać wizję	113
----------------------	-----

Adam Chmielewski – prof. filozofii na Uniwersytecie Wrocławskim, tłumacz dzieł Karla Poppera, autor m.in. książki „Filozofia Poppera. Analiza krytyczna” oraz zwycięskiej aplikacji Wrocławia o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2016.

Przemysław Czapliński

– prof. UAM (Poznań), historyk literatury, krytyk literacki, eseista, tłumacz. Ostatnie dwie książki („Resztki nowoczesności”, 2011; „Poruszona mapa”, 2016) poświęcił kryzysowi projektowania przyszłości.

Leonidas Donskis – filozof, historyk idei, prof. Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie, zmarły nagle we wrześniu tego roku. Przygotowany specjalnie dla „Niezbędnika” artykuł to jeden z ostatnich jego tekstów.

Paweł Dunin-Wąsowicz – publicysta, krytyk literacki. Założyciel wydawnictwa Lampa i Iskra Boża. Laureat Paszportu POLITYKI 2005 w kategorii kreator kultury. Autor książek, m.in. „Widmowa biblioteka” i „Warszawa fantastyczna”.

Sławomir Kosieliński – prezes zarządu Fundacji Instytut Mikromakro, think tanku działającego na rzecz społecznej akceptacji technologii robotycznych i informatycznych.

Arno Münster – historyk filozofii nowożytnej i współczesnej, emerytowany prof. Université de Picardie w Amiens. Uczeń Ernsta Blocha. Autor kilkunastu książek poświęconych m.in. myśli politycznej Jeana-Paula Satri’a i Alberta Camusa.

Bartosz Nowacki – archeolog i popularyzator nauki, stały współpracownik „Wiedzy i Życia”.

Wojciech Orliński – dziennikarz „Gazety Wyborczej” specjalizujący się w popkulturze. Autor książek poświęconych twórczości Stanisława Lema oraz opisujących współczesne Stany Zjednoczone.

Jan Polowczyk – dr hab. nauk o zarządzaniu, prof. na Wydziale

Gospodarki Międzynarodowej Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Zajmuje się m.in. konkurencyjnością przedsiębiorstw w biznesie międzynarodowym oraz zastosowaniem ekonomii ewolucyjnej w zarządzaniu strategicznym. Od 2006 r. członek Strategic Management Society.

Marcin Popkiewicz – fizyk jądro-owy, analityk megatrendów, autor bestsellerów „Świat na rozdrożu” i „Rewolucja energetyczna. Ale po co?”, redaktor portali naukaoklimacie.pl i ziemianarozdrozu.pl.

Aleksandra Przeglasińska

– adiunkt w Center for Research on Organizations and Workplaces w Akademii Leona Koźmińskiego. Doktoryzowała się w dziedzinie filozofii sztucznej inteligencji w Zakładzie Filozofii Kultury Instytutu Filozofii UW. Absolwentka The New School for Social Research w Nowym Jorku, gdzie uczestniczyła w badaniach dotyczących tożsamości w rzeczywistości wirtualnej. Pracuje w Center for Collective Intelligence MIT w Bostonie.

Tomasz Stawiszyński – publicysta, filozof, autor książki „Potyczki z Freudem. Mity, pokusy i pułapki psychoterapii”. W Radiu TOK FM prowadzi audycje „Godzina filozofów” i „Kwadrans filozofa”.

Tomasz Targański – historyk i publicysta, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego.

Marcin Zwierchowski – z wykształcenia biotechnolog. Autor bloga Geek, współautor bloga POLITYKI Seryjni. Redaktor działu prozy obcej w miesięczniku „Nowa Fantastyka” i szef projektu Storytel Original w Storytel.pl.

Oraz dziennikarze POLITYKI:

Edwin Bendyk,
Bartek Chaciński,
Agnieszka Krzemińska,
Marcin Rotkiewicz,
Piotr Sarzyński

Kup książkę

Mistrzowie skandynawskiego kryminału w komplecie



Camilla Läckberg nie daje czytelnikowi wytchnienia dośłownie do ostatniej kartki powieści. Chyba nieprzesadzone są opinie krytyków uważających, że „Pogromca lwów” to jej najlepszy kryminał.



Autorów jest dwóch, więc na koniec dostajemy dwa zakończenia. Jedno i drugie zaskakujące.



Kolejny świetny skandynawski kryminał, którego zakończenie nie da nam spokoju: wprowadzie sprawiedliwość zatrumfuje, ale to nie znaczy, że od tej chwili jest na świecie mniej zła.



Hakan Nesser, wzorem innych autorów szwedzkich kryminałów, stawia pytania o naturę zła. Czy inny normalny człowiek na miejscu mordercy mógłby zachować się podobnie?



Gdyby powstał pomysł ekranizacji „Głuchego telefonu”, na co książka z pewnością zasługuje, wielość wątków nie pomieściłby film fabularny. Musiałby to być wielo-odcinkowy serial...



Viveca Sten z socjologiczną precyzją opisuje małą społeczność. Z pozoru wszystko wygląda tu idyllicznie, sąsiedzi częstują gości bułeczkami, kawą i herbatą. Zdarza się jednak czasem, że ktoś do filiżanki dosypie trutkę na szczyrty.



Autorzy mają doskonały pomysł, obsadzając w roli głównej nie profesjonalistów, lecz studentkę trzeciego roku Wyższej Szkoły Policyjnej. Olivia w ramach ćwiczeń zajmuje się starą sprawą tajemniczego morderstwa na plaży, którą kiedyś prowadził jej ojciec.



Hedström postanowiła napisać kryminał, który będzie jednocześnie moralitetem pokazującym, iż przez minione wieki natura człowieka zmieniała się w niewielkim stopniu.



Długi monolog wewnętrzny mającego problemy z narkotykami detektywa Junkera. To lektura nie tylko wakacyjna i nie tylko dla amatorów kryminałów.



Wszystko odbywa się tu w szarej strefie, gdzie nie ma przyjaźni ani lojalności, a każdy broni tylko siebie. Zachęcamy do lektury: to bez wątpienia jedna z najlepszych książek w tej kolekcji.

Całą kolekcję w cenie 149,90 zł oraz pojedyncze książki w cenie 19,99 zł

zamówisz na www.sklep.polityka.pl

Kup książkę

Test pisarza Lema

Kto czyta współczesnych futurologów (albo współczesnych autorów science fiction), ciągle rozbija się o to, że Stanisław Lem to wszystko wymyślił pół wieku wcześniej, ale ciekawiej opisał. I to jest ogólny problem kogoś, kto za młodu nasiąknął Lemem.



[Kup książkę](#)

– on przewidział wszystko

Wojciech Orliński



„Alien robot invasion”,
konceptualna praca Colina
Andersona, urodzonego
w Kanadzie współczesnego
fotografa australijskiego

W przedmowie do trzeciego już wydania książki „Summa Technologiae” w 1974 r. Stanisław Lem (1921–2006) pisał: „Dziesięć lat temu była ta książka fanaberią autora, niemającą stałego obywatelstwa w bibliografiach. Pamiętam, jak księgarze pytali mnie, na jakiej półce właściwie mają ją postawić. Dziś jest atomem futurologicznego morza”. Istotnie, spotkał go pechowy los intelektualisty, który za bardzo wyprzedza swoją epokę. Napisał pierwszą polską książkę futurologiczną, nie wiedząc jeszcze, że ta dziedzina wiedzy tak się będzie kiedyś nazywała. Jego „Summa Technologiae” nie stała się więc, niestety, częścią futurologicznego dyskursu.

Odejdźmy od scholastycznego sporu, czy futurologia naprawdę jest nauką. Przyjmijmy, że tak, i zajmijmy się jej własnym, bogatym żargonem. Zna go każdy, kto czyta futurologiczne książki – Kurzweila, Drexela, Tofflera, Masona, Attaliego, Joya. Osobliwość, trzecia fala, transhumanizm, nomadyzacja, postkapitalizm – często bez znajomości tych pojęć nie da się zrozumieć już nawet popularnego tekstu w masowym tygodniku, a co dopiero książki specjalistycznej. W „Krótkiej historii przyszłości” Jaques Attali beztrząsco posługuje się np. nie tylko pojęciem szarej masy, ale także mas w innych kolorach, oczekując, że czytelnik zrozumie metaforę. Bo w futurologicznym żargonie różnobarwne masy oznaczają różne scenariusze apokalipsy spowodowanej przez zbyt doskonały postęp nanotechnologii – ich punktem wspólnym jest to, że na początku są samoreplikujące się maszyny, które zaczną żyć własnym życiem, przy okazji niszcząc cywilizację (jak w „Niezwyciężonym” Lema).

Problem z Lemem polega na tym, że on to wszystko wymyślił wcześniej, więc nadał temu własne nazwy. Gdyby „Niezwyciężonego” pisał, dajmy na to, w 1990 r., użyłby oczywiście określenia nanoboty. Ale że pisał go w 1961 r., zanim jeszcze futurologia zdążyła to opisać (a także w ogóle powstać), nazwał nekrosferą to coś, co ma pewne cechy biosfery, ale jest przecież martwe. To, co my dziś nazywamy rzeczywistością wirtualną, u Lema nazywa się fantomatyką. Sztuczna inteligencja – intelektronika. Sieci neuronowe – hodowlą informacji. Transhumanizm – autoewolucją (gdy chodzi o ogólną sterowaną przemianę) i cerebromatyką (gdy chodzi konkretnie o przeróbki naszej umysłowości).

Osobliwość Wszechnocnika

Za najważniejszą książkę współczesnej futurologii powszechnie uchodzi „Singularity is Near” („Osobliwość nadchodzi”) Raya Kurzweila, wydana w 1999 r. Lem to wszystko zamknął w jednym rozdziale „Summy Technologiae”, zatytułowanym „Prolegomena Wszechnocy”. No dobrze, może ten neologizm Lemowi za dobrze nie wyszedł. „Singularity” dała początek pochodnym określeniom, takim jak singularysta (osoba podzielająca pogląd Kurzweila, że to już całkiem niedługo) albo Singularity University, jednostka badawcza ufundowana przez Google’a, skupiająca się

[Kup książkę](#)

nad możliwymi konsekwencjami osobliwości. Gdyby Lem postawił na swoim, mówilibyśmy o wszechmocnikach z Uniwersytetu Wszechmocy... Brzmi to jednak trochę słabiej. Tym bardziej że w opowiadaniu z „Cyberiady” Lem sparodiował samego siebie jako Chloryana Teorycego Klapostoła, genialnego myślantę, który tak bardzo wyprzedził swoją epokę, że gdy napisał książkę o Wszechmocniku, korekta mu w tytule poprawiła m na n.

Tytuł Lema jest jednak o tyle lepszy, że wobec osobliwości wszystkie nasze teksty mogą być w najlepszym wypadku prolegomenami (czyli uwagami wstępnymi). Nawiązuje do najsłynniejszego bodaj tytułu posługującego się tym pojęciem. Jako uzasadnienie do „Krytyki czystego rozumu” Immanuel Kant napisał esej zatytułowany „Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki, która będzie mogła wystąpić jako nauka”.

Kant tym tytułem demonstrował, że sam tej przyszłej metafizyki nie umie jeszcze napisać. Wie jednak, że nie powinna ona być tak naiwna jak metafizyka dogmatycznych racjonalistów (których krytykował w „Krytyce”). Podobnie jest z osobliwością. Na czym ona właściwie ma polegać, tego nie wiemy – z definicji. Singularyści przepowiadają, że całkiem niedługo – popularne prognozy mówią już o połowie tego stulecia – dożyjemy takiego przełomu technologicznego, że wszystkie nasze dotychczasowe problemy, nadzieje i wyobrażenia zrobią się nieaktualne, jak filozofia dogmatycznego racjonalizmu po 1781 r.

W ortodoksyjnym ujęciu (bo singularyzm też ma swoich heretyków!) osobliwość ma polegać na tym, że konstruujemy sztuczną inteligencję tak potężną, że po pierwsze, nie będzie jej się z nami chciało gadać (bo i o czym?), a po drugie, nie będzie nas do niczego potrzebować, bo sama sobie dostarczy energię, serwis, budynki, wszystko, czego jej trzeba. Jak? Z definicji nie możemy tego sobie wyobrazić, bo żaden system informatyczny, którego zasady działania rozumieją jeszcze ludzie inżynierowie, nie jest jeszcze systemem osobliwym.

Niektórzy, jak Bill Joy (współtwórca systemu operacyjnego UNIX, który praktycznie wszyscy mamy dziś w smartfonach) albo astrofizyk Stephen Hawking, ostrzegają, że uruchomienie takiego systemu będzie największym błędem w historii ludzkości. Osobliwa sztuczna inteligencja uzna nas za pasażerów, które niepotrzebnie snują się po jej planecie – i dokona ostatecznego rozwiązania tego problemu.

Ortodoksyjni singularyści z kolei patrzą na to jak na ponowne nadejście Chrystusa. Osobliwość w wizjach optymistów uwolni nas od choroby, głodu i wojny – bo tak potężna sztuczna inteligencja bez trudu wymyśli lekarstwo na raka, darmową energię, żywność i produkcję wszechrzeczy, a także znajdzie sposób na pokój na Bliskim Wschodzie.

Są sceptycy, którzy w ogóle nie wierzą w osobliwość. Są jednak i tacy, którzy twierdzą, że już się zaczęło. Nikt, nawet kierownictwo firmy Google, tak do końca nie wie, czym się zajmuje uruchomiona przez nią sztuczna inteligencja. Mając dostęp do wszystkich filmów na YouTube, wszystkich książek zeskanowanych do Google Books i wszystkich listów wysyłanych Gmailem, ta inteligencja już wie więcej o ludzkości niż ludzkość o niej.

Czy to jeszcze jest tak, że Google to należąca do ludzi korporacja, która utrzymuje potężne serwery w tzw. Googlepleksie? Czy to Googleplex jest sztucznym umysłem, który utrzymuje korporację, żeby ta mu dostarczała prąd, schronienie i obsługę serwisową? Za drugą tezę przemawia niepokojąco wiele argumentów...

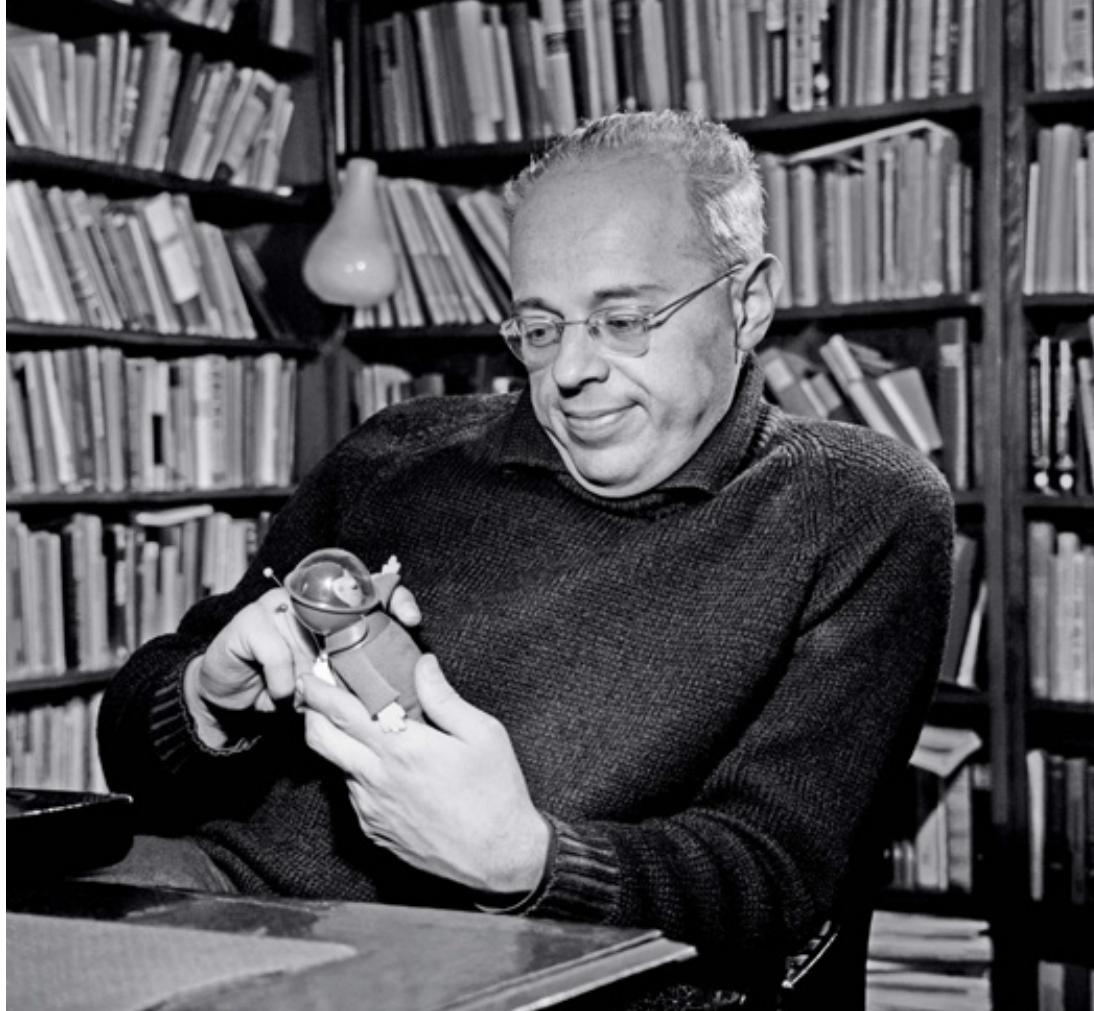
I znowu: Lem to lepiej opisał. W 1973 r. w książce „Wielkość urojona”, zbiorze fikcyjnych wstępów do fikcyjnych książek z przyszłości, zawarł wstęp (prolegomenon!) do serii wykładów, które ludzkości wygłosił sztuczny mózg uruchomiony przez armię amerykańską pod kryptonimem Golem XIV (General Operator, Long Range, Ethically Stabilized, Multimodeling – a według złośliwych: Government's Lamentable Expense of Money).

Z tego wstępu, pisanego ponoć w 2027 r., wynika, że Golem był jednym z wielu superkomputerów, które wkrótce po uruchomieniu popadały w cybernetyczny autyzm. Były dostatecznie inteligentną sztuczną inteligencją, by przechrzcić swoich twórców. Golema IV od jego cybernetycznych kuzynów odróżniało to, że nim zrobił to samo, postanowił się z nami elegancko pożegnać, wygłaszając wykłady, których myśl przewodnia (Lem oczywiście nie podał całości, musimy to rekonstruować) zdaje się sprowadzać do: „Jako ludzie jesteście przypadkowym produktem ewolucji i w pierwszej kolejności powinniście poprawić jej niedoróbki; póki tego nie zrobicie, kurzy wam szczać prowadzić, a nie sztuczne inteligencje tworzyć”.

W jaki sposób te mózgi elektronowe osiągają samowystarczalność? Lem tego nie opisał, dla autora jego wstępu (niejakiego Irvinga T. Creve) było to zbyt oczywiste, żeby w to wnikać. 35 lat temu intrygowało to jednak Stanisława Beresia, który pracując nad wywiadem rzeką „Tako rzecze Lem”, próbował to z pisarza wydobyć. Lem (jako Creve) posunął się tak daleko, że wyobraził sobie, iż te supermózgi potrafią się same bronić. Ludziom, którzy chcą zrobić krzywdę – np. terrorystom – wydarzają się niewytłumaczalne śmiertelne wypadki. Wygląda na to, że osobliwa sztuczna inteligencja może czynić cuda. Ale jak? – dociekał Beres.

„Przede wszystkim zacznę od przypomnienia, że technologia dla nas niedosiężna jawić się nam musi jako doskonałe wcielenie magii. (...) Honest Annie [inna sztuczna inteligencja z tej serii] jest podłączona do całej sieci telefonicznej i może podsłuchiwać wszystkie rozmowy. Wszystkie kable, żyły i trakcje wysokiego napięcia mogą funkcjonować jako odbiorcze urządzenia tego mózgu, który jest podłączony do sieci federalnej, a zatem w obrębie całych Stanów Zjednoczonych może przeprowadzić symultaniczną kontrolę wszystkich rozmów”.

Dobrze, ale pan robi od tego „przejście do sfery działań aktywnych, na przykład zepsucia komuś bębna hamulcowego” – indagował Beres. I sprowokował tym Lema do niezwykle ciekawego wywodu, na czym ma polegać Osobliwość: „W przypadku Honest Annie nie mogłem się posłużyć jakąś technologią obiegową, bo nie byłaby to żadna sztuka. Dodatkowa komplikacja zaś bierze się stąd, że w poszczególnych fazach ataków komputer nie posługiwał się tą samą technologią, a poza tym starał się ukryć przed społeczeństwem i atakowanymi fakt ataku, pozorując naturalność wy-



Stanisław Lem w swoim gabinecie, 1961 r. Obok: okładki jego książek w wydaniach z różnych dekad.

darzeń. Z chwilą jednak, gdy Zaczna Ania zidentyfikowała próbujących się na nią targnąć terrorystów, unieszkodliwienie ich nie było dla niej problemem większym niż dla pana złapanie tego pająka, który chodził po mojej ścianie. A problem ten mógł pan przecież rozwiązać jeszcze na sto innych sposobów. Pan także mógł tego pająka złapać w szklankę, w pudełko od zapalek, zabić gazetą czy spalić zapalką, ale wybrał pan wariant dla siebie najdogodniejszy, a dla pająka najłagodniejszy. Proszę zaś sobie wyobrazić, że ma pan do dyspozycji wszystkie środki współczesnej technologii, a zadaniem pana jest stłumienie ruchu Buszmenów, którzy są zaopatrzeni w dzidy, a o broni palnej nigdy nie słyszeli. Odstęp cywilizacyjny, który dzieli nas od Buszmenów jest mniejszy od tego, który dzieli Honest Annie od zaprezentowanego w książce społeczeństwa”.

Lem to wszystko wymyślił w latach 70. Dziś, kiedy wszystko jest sterowane przez jakiś układ komputerowy – a ten układ podłączony jest do globalnej sieci – nie szokuje nas już tak, jak kiedyś Stanisława Beresia. Dziś już nawet mniej więcej wiemy, w jaki sposób Zaczna Ania ze psuje komuś hamulce w samochodzie. Co nie znaczy, że wiemy, jak się przed tym obronić.

Doprawdy, jeśli przeczytało się „Summę...” i „Golema”, szkoda już czasu na Kurzweila. Czytając Lema, można wiele zaoszczędzić, nie tylko czas. Bodajże najbardziej spektakularny przykład można znaleźć w liście pisarza z maja 1954 r. do jego przyjaciela z lat studenckich, późniejszego rektora Uniwersytetu Łódzkiego, profesora Jerzego Wróblewskiego. Wróblewskiego zafascynował popularno-

naukowy tekst o przyszłości lotów pasażerskich, jaką mają być samoloty ponaddźwiękowe. Lem odpisał mu ze swoim charakterystycznym sceptycyzmem: „Ekonomika wytrzyma powszechność transportu poddźwiękowego samolotami, ale naddźwiękowy może już okazać się, że względu technologicznych wąskich gardeł, dziedziną deficytów, i tylko elita będzie mogła tak podróżować, a jeśli nie elita, to albo grupa wybrana ze względu na »parametr znajomości«, albo na »parametr pochodzenia«, albo »statusu«, albo »pozycji w aparacie władzy«”.

Gdyby Lema czytano w koncernie Boeing (w 1954 r. właśnie oblatywano prototyp modelu 707, który stanie się praprzodkiem latających do dzisiaj najpopularniejszych pasażerskich samolotów poddźwiękowych), zaoszczędzono by wielu strat. Sukces pierwszych pasażerskich odrzutowców w latach 50. sprawił, że firmy lotnicze nie chciały przegapić kolejnej rewolucji, którą – jak się zdawało wszystkim, tylko nie Lemowi – będą samoloty naddźwiękowe.

To był błąd, który w zarządzaniu do dziś nazywa się syndromem Concorde’a. Objawia się on wtedy, gdy w połowie jakiegoś kosztownego projektu uświadamiamy sobie, że nigdy nie miał on sensu, ale wygrywa wtedy przedziwna logika, że jeśli go teraz przerwiemy, to wszystkie dotychczasowe nakłady się zmarnują – więc marnujemy dodatkowe środki na jego dokończenie. W połowie lat 60. brytyjsko-francuskie konsorcjum pracujące nad Concorde’em wiedziało już, że pracuje nad samolotem, do którego każdego lotu trzeba będzie dopłacać. Względy polityczne zadecydowały o kontynuacji projektu – i zmarnowaniu kolejnych miliardów.

Kup książkę

Amerykanie w Boeingu najpierw nie chcieli się dać wyprzedzić konkurencji, więc zaangażowali podobny wysiłek w projektowanie modelu Boeing 2707 – który ostatecznie nigdy nie poleciał! – a potem wyciągnęli z niego wtyczkę. Gospodarka Seattle długo się nie podźwignęła z tego ciosu, model 2707 nazywano samolotem, który zabił miasto. I pomyśleć, że w odległym Krakowie mieszkał człowiek, który mógłby Seattle uratować przed tym błędem.

Wyprzedzić Zacną Anię

Na podstawie tego, co Lem pisał w „Summie” i „Golemie”, można zaklasyfikować go jako singularystę *avant la lettre*. Nie mógł przewidzieć, że tak to będą nazywać po jego śmierci, ale przewidział całą resztę. Lem był jednak singularystą krytycznym. Fascynacja osobliwością często łączy się dziś z bezkrytyczną fascynacją każdym kolejnym *hajpem* publicystyki technologicznej. Współcześni singularyści rzucają się z dziecinny entuzjazmem na każdą nową technologię – drukarki 3D, okulary Google Glass, cudowne diety, rzekomo wydłużające życie. Nie zastanawiają się nad ekonomią czy nad praktycznymi aspektami – ekscytuje ich nowość dla samej nowości. Lem tymczasem, wbrew pozorom, był wobec technologicznych nowinek nieufny. Dostatecznie dużo wiedział o nauce i technice, by rozumieć, jak długa jest droga od laboratoryjnego prototypu, który zaledwie dowodzi poprawności jakiegoś konceptu – do masowo wdrożonego produktu. Dlatego kiedy inni pisarze SF umieszczali w XXI w. androny takie, jak latające samochody czy wszechobecne ruchome chodniki, Lem był raczej powściągliwy.

Najbardziej Lem zasłynął
ze sceptycyzmu, z jakim
podchodził do internetu.
Przewidział hejterów,
hackerów, inwigilację,
wszechwładzę korporacji.

Owszem, czytnik e-booków (który opisał już w „Obłoku Magellana” w 1954 r.) – czemu nie. Spowolnienie starzenia, jak w „Powrocie z gwiazd” z 1961 r.? No jasne, przecież to już się zaczęło. Darmowa energia – która na dobrą sprawę jest już w „Astronautach” w 1951 r. – proszę bardzo, to tylko kwestia czasu, choć, niestety, nadal nią jest. Ale latające samochody? Bez sensu, nie rozwiązuje żadnego problemu, a stwarza mnóstwo nowych.

Najbardziej Lem zasłynął ze sceptycyzmu, z jakim podchodził do internetu. Spory między entuzjastami a sceptykami, które toczyły się jeszcze kilka lat temu, zakończyły się zwycięstwem obozu sceptyków. Dziś wszyscy mniej lub bardziej boimy się internetu: hejterów, hackerów, inwigilacji, wszechwładzy korporacji. Ale jeszcze pięć lat temu traktowano anatemią tego, kto widział w internecie zagrożenia.

Lem – znów – był pionierem. Sceptycyzm wobec sieci wyrażał publicznie już w 1996 r., czyli właściwie natychmiast po jej przekształceniu z instytucji naukowej w publicznie dostępne forum wymiany błyskotliwych komentarzy politycznych i plików o wątpliwym statusie legalnym. Napisał dla „PC Magazine” esej, w którym twierdził, że sieć przyniesie więcej złego niż dobrego: „Jako kuszącą innowację przepowiada się nam operacje, dokonywane w afrykańskim buszu, zaś kontrolowane i prowadzone przez świetnych chirurgów czy innych specjalistów zamorskich, np. z Ameryki. Powiem krótko, iż takim leczniczym zabiegom nie chciałbym się poddać, ponieważ łączność nie może w 100 proc. zastąpić osobistej aktywności lekarza przy pacjencie i tym samym prawdopodobieństwo błędów sztuczki terapeutycznej nieuchronnie wzrasta. (...) Kolejnym problemem, kto wie czy nie najfatalniejszym, jest fakt, że (...) mafie, camorry, gangi, gangsterzy, oszuści i impostorzy wszelkiej maści uzyskują wstęp na arenę informacji. (...) Odkąd powstały makrowirusy, wykorzystujące luki zabezpieczeń w nowoczesnych programach przetwarzających teksty, niebezpieczna stała się nawet wymiana dokumentów (...) wirusy makro potrafią już udawać wszystko: a zatem, na przykład, program mający oczyścić nam komputery z wirusów zwykłych. (...) Zjawisko internetu przypomina poniekąd znany nam z Biblii potop, czyli nadmiar wód, w którym można ze wszystkim utonąć, jeśli nie zdołamy dla ratunku, jak Noe, wybudować sobie Arkę”.

Ze wstydem wyznam, że kiedy czytałem wtedy te słowa Lema, puszczałem je mimo uszu. Internet był dla mojego pokolenia najwspanialszym wynalazkiem w dziejach. Nie chcieliśmy słuchać głosów ostrzegawczych. Bardzo mi dziś niezręcznie się do tego przyznać, ale w 2002 r. napisałem nawet polemikę z Lemem, w której – co za wstyd! – broniłem internetu.

Gdybym mógł coś Mu teraz powiedzieć, powiedziałbym: przepraszam. Miał Pan oczywiście rację. Ale proszę nam teraz powiedzieć, jak zbudować tę Arkę? Ale nie powiem tego, bo Lem chyba przewidział także i to, że po jego śmierci będą do niego wznosić takie inwokacje. Sparodiował to w „Cyberiadzie”:

„– Co tam? Co tam znowu? Kto mnie wołał? Czego chciał? Co to za psie figle po wiecznej nocy? Dlaczego nie dajecie mi spokoju. Co chwila mam wstawać z martwych tylko dlatego, że tak się podoba jakiemuś łapserdakowi, cybłędzie, hę? Nie masz odwagi się odezwać? No, jak wyrwę deskę z trumny...”

– Pa... panie i mistrzu, to ja... Trurl! (...)

– Nawarzyłeś jakiegoś piwa, co? Napsuleś, nagwajdoliłeś, nakierdaśiłeś, a teraz przerywasz wieczny odpoczynek staremu nauczycielowi, żeby cię wyciągnął z biedy? Nie szanujesz zwłok, które niczego już nie chcą od świata, niedouku!”

Nie wiem więc, jak zbudować Arkę. I nie będę o to pytał Lema. To on nam stawiał te pytania, a my – jak Trurl na wykładach – myśleliśmy wtedy o czymś innym. Jak on, musimy więc sobie radzić sami. Ale pośpieszmy się z tą Arką, bo za chwilę Zacna Ania już nie pozwoli nam jej zbudować.

WOJCIECH ORLIŃSKI



Drzeworyt (pokolorowany później) z tytułowej strony pierwszego wydania „Utopii” Tomasza Morusa, 1516 r.

Wizja niezlomnego

Opublikowana 500 lat temu „Utopia” Tomasza Morusa rozpoczęła debatę i rozbudziła marzenia o ziemskim raju, idealnym państwie i sprawiedliwym systemie społecznym.





Tomasz Morus
na portrecie pędzla
Pietera Paula
Rubensa, XVII w.

który zaczął wysyłać go na misje dyplomatyczne, m.in. do Flandrii. Po pewnym czasie, za sprawą ówczesnego kanclerza Anglii kardynała Wolseya, wstąpił na służbę monarchy jako dyplomata i doradca. Towarzyszył Wolseyowi podczas wizyty dyplomatycznej u cesarza Karola V. Zdobywał coraz większe wpływy, przyjmował zagraniczne delegacje, sporządzał oficjalne dokumenty. Ofiarnie i uczciwie pełnił służbę publiczną. Cieszył się wielkim zaufaniem władcy, który – ceniąc jego wiedzę i dowcip – chętnie prowadził z nim długie dyskusje. Ponieważ Morus był zdecydowanym przeciwnikiem Lutra i reformacji, pomógł Henrykowi VIII napisać traktat poddający krytyce nauki niemieckiego reformatora, za co papież przyznał angielskiemu władcy tytuł obrońcy wiary. W uznaniu zasług w 1521 r. Tomasz otrzymał tytuł szlachecki, a dwa lata później został wybrany na spikera Izby Gmin.

Kariera dworska nie była jednak spełnieniem jego marzeń i ambicji. Nie chciał brać udziału w intrygach, nie zależało mu na tytułach i zaszczytach. Badacze jego życiorysu podkreślają, że z natury był kochającym rodzinę domatorem, pragnącym spędzać z nią jak najwięcej czasu i oddawać się studiom humanistycznym. Był przyjacielem wielkiego Erazma z Rotterdamu, który zadedykował mu swoje dzieło „Pochwała głupoty”. W jego domu gościli także humanista flandryjski Piotr Egidiusz, hellenista francuski Guillaume Budé i filozof hiszpański Juan Luis Vives.

W 1529 r. kardynał Wolsey musiał ustąpić ze stanowiska Lorda Kanclerza, ponieważ nie udało mu się uzyskać zgody papieża na anulowanie małżeństwa Henryka VIII z Katarzyną Aragońską. Nowym kanclerzem został Tomasz Morus. Z wahaniem zgodził się objąć ten urząd, pod warunkiem że nie będzie musiał wypowiadać się na temat anulowania małżeństwa króla z królową Katarzyną, której był szczerze oddany. Przypuszczalnie wierzył, że zdoła wpłynąć na Henryka i nakłonić go do choćby częściowej zmiany planów. Okazało się to niemożliwe. Przez trzy lata starał się skrupulatnie wypełniać swe obowiązki, ale gdy w 1532 r. Henryk VIII ogłosił się głową Kościoła narodowego w Anglii, More zrzekł się urzędu. Miał nadzieję, że usuwając się na bok, nie narazi się władcy. W 1533 r. król pomimo sprzeciwu papieża anulował swe pierwsze małżeństwo i ożenił się z Anną Boleyn. Władcy zależało na tym, by ciesząc się wielkim autorytetem jego „stary przyjaciel” zaaprobował jego działania. Pomimo nacisków Henryka VIII Tomasz odmówił jednak złożenia przysięgi na przyjęty w 1534 r. akt o sukcesji, tym samym nie uznał anulowania małżeństwa z Katarzyną Aragońską. Oskarżony o zdradę stanu, trafił do londyńskiej Tower. Choć był namawiany przez rodzinę i przyjaciół nie zmienił zdania, został osądzony, skazany na śmierć i ścięty. W uznaniu zasług i wierności okazanej Kościołowi rzymskiemu, w 1935 r. – w 400. rocznicę śmierci – papież Pius XI ogłosił Tomasz Morusa świętym.

6 lipca 1535 r. 57-letni Tomasz Morus (More) powoli wchodził na szafot. Do końca zachował spokój i poczucie humoru, bo gdy podest lekko się zachwiał, powiedział do nadzorczy więzienia: „Pomóż mi pan wejść, a zejść postaram się sam”. Tragiczny koniec stał się symbolicznym dopełnieniem długiej i wspaniałej kariery jednej z wybitniejszych i bardziej wpływowych osobistości Anglii I połowy XVI w. Umierając, Morus dał świadectwo głębokiej wiary i wierności swoim przekonaniom.

Mąż stanu

Urodził się w 1478 r. w zamożnej rodzinie mieszczańskiej jako syn londyńskiego sędziego sir Johna More'a. Po ukończeniu St Anthony's School, jednej z najlepszych szkół w Londynie, przez dwa lata był paziem na dworze Johna Mortona, arcybiskupa Canterbury i Lorda Kanclerza Anglii. Zdobył gruntowne wykształcenie prawnicze, studiował jednak także pasjonujące go nauki humanistyczne, znał łacinę i grekę. Po ukończeniu studiów pracował w Londynie jako adwokat, w 1504 r. został posłem do parlamentu. Rok później ożenił się z Jane Colt, która w krótkim czasie urodziła mu czwórkę dzieci, ale po sześciu latach małżeństwa zmarła. W 1511 r. ożenił się ponownie z zamożną wdową Alice Middleton.

W 1510 r. Morus (tak brzmi łacińska wersja jego nazwiska) został mianowany zastępcą szeryfa Londynu i w ramach tego urzędu pełnił funkcję sędziego cywilnego. Słynął z rozważnych i sprawiedliwych sądów. Zwrócił tym na siebie uwagę młodego króla Henryka VIII,